



Remigiusz Mazur-Hanaj

foto: M. Skrzypek

Oskar dla Domu Tańca

W tym roku prestiżowa Honorowa Nagroda im. Oskara Kolberga przyznawana „za zasługi dla kultury ludowej” przypadła w udziale między innymi Stowarzyszeniu „Dom Tańca” z Warszawy. Rozdanie wyróżnień odbyło się 22 września, po raz pierwszy od wielu lat w Przysusze, miejscu urodzenia znakomitego polskiego etnografa. Dom Tańca zaprezentował się tam licznie, organizując na poczekaniu zabawę na ganku dworku, w którym niegdyś mieszkał Kolberg, a obecnie znajduje się muzeum jego imienia. Wśród grających był też Remigiusz Mazur-Hanaj jeden ze współzałożycieli Domu Tańca.

Jak się czujesz po otrzymaniu nagrody, którą chyba każda osoba związana z folklorem pragnęłaby dostać?

Raczej normalnie... Odbieram to oczywiście jako zaszczyt, cieszę się, że docenia się nasz sposób działania, tym bardziej, że jest on zupełnie nowy – nie w Europie, ale w Polsce, gdzie wciąż mocno trzymają się PRL-owskie wzory pracy z folklorem, a raczej opracowywania folkloru. Niesłychanie żywotne jest i wciąż się odradza w rozmaitych przebraniach, XIX-wieczne przekonanie, że folklor in crudo jest brudny, brzydki i trzeba go obrabiać. Nie twierdzą, że nasze podejście, odrzu-

cające pochopne i powierzchowne stylizacje, jest jedynie słuszne, do niedawna było jednak nieobecne i sądzę, że warto jest emancypacji.

Mam pewne wątpliwości, na ile taka nagroda przekłada się na realne ułatwienie naszej pracy, większe szanse na pozyskiwanie potrzebnych dotacji itd. Na szczęście, jeżeli nie mamy pieniędzy i możliwości stwarzanych przez urzędników zawiadujących kulturą, to też nie narzekamy. Istotną cechą naszego środowiska jest to, że właściwie sami sobie jeździmy, uczymy się i to jest najważniejsze – ten kontakt ze wsią utrzymywany na

własną rękę, każdego z osobna, zgodnie z jego potrzebami. Łatwe to nie jest, dostarcza za to satysfakcji. Krótko mówiąc – nie jest się zależnym od giełdy.

Jaka jest historia Domu Tańca?

Dom Tańca wyrósł z rozmaitych indywidualnych przygód, długo by mówić... 9 października 1994 roku miała miejsce pierwsza zabawa w klubie „Riviera-Remont” w ramach „Sceny Muzyki Tradycyjnej – Korzenie”. Zagrała wówczas kapela Mariana Pełki, harmonisty pedałowego z Kłudna koło Radomia. De facto był to początek Domu Tańca. Od tamtej pory zabawy odbywały się co tydzień przez dwa lata. Zawsze przyjeżdżała kapela ze wsi, na początku towarzyszyła jej kapela folkowa, ale to się nie sprawdziło. W „Remoncie” nauczyliśmy się tańczyć, przyjeżdżały grupy kołędnicze z Herodami, w Wielkim Poście zaczęliśmy organizować koncerty ludowych pieśni wielkopostnych (wielu artystów, którzy nas wtedy odwiedzali dziś już nie żyje lub nie gra). Formalnie Stowarzyszenie zawiązało się wiosną 1995 roku, wtedy też nastąpiło oficjalne otwarcie działalności w Muzeum Etnograficznym w Warszawie (notabene od tamtej pory w owej placówce już więcej nie gościliśmy). Zreby Domu tworzyliśmy z Januszem Prusinowskim, Katarzyną Leżeńską, Antonim Beksiakiem, Katarzyną Andrzejowską (obecnie de Latour), Piotrem Zgorzelskim, moją żoną Agatą Harz. Dołączyli Katarzyna Dołęgowska, Piotr Piszczatowski, część środowiska „Werschowyń”. Wszystkich nie wymienię, ale chcę podkreślić, że to był wspólny wysiłek wielu osób. Pomagała nam (niestety tylko na początku) dr Grażyna Dąbrowska – praktykujący choreolog. Miało to znaczenie tym bardziej, że mieliśmy zawsze problem z akceptacją ze strony kręgów akademickich, bo nasz styl pracy miał w sobie elementy przeciwne naukowemu podejściu. Był on bardzo emocjonalny i wartościujący, nastawiony oczywiście na dokumentację, ale najważniejsze było samo przeżycie nawet kosztem dokładności, wierności skryby. Wiele zawdzięczamy Piotrowi Dahligowi oraz „last but not least” artystom: Małgosi i Andrzejowi Bienkowskim, z którymi związała nas przyjaźń po grób.

Przez jakiś czas trwały równoległe koncerty i zabawy w Remoncie, i w Domu Tańca na Jezuickiej (w Stołecznym Centrum Edukacji Kulturalnej), a więc odbywały się dwie imprezy w tygodniu. Były to czasy, kiedy łatwiej można było zdobyć pieniądze i my mieliśmy więcej sił – niesamowicie intensywny okres. Później były bardziej dojrzałe działania, projekty edukacyjne, zajęcia w szkołach, środowiskach patologicznych, młodzieżowych, regularne badania terenowe dotyczące

muzyki instrumentalnej, śpiewu, także religijnego, i tańca. Wtedy też konsolidowało się środowisko poprzez wspólne obchodzenie świąt, wyjazdy etc. To było bardzo ważne, teraz założyliśmy rodziny, inaczej żyjemy, chwalimy sobie terazniejszość, ale jest to już zupełnie co innego. Skupiamy się mniej na sobie, a bardziej na pracy z dziećmi (również własnymi, choć z tym jest chyba najtrudniej...), staramy się naszym dorobkiem dzielić się z innymi i to zarówno doświadczeniami wyniesionymi z sukcesów, ale też i popełnianych przez siebie błędów. Myślę, że to bardzo istotne.

A ty sam jaką drogą doszedłeś do folkloru?

Zawsze lubiłem muzykę, a zaczynałem w wieku burzy i naporu od muzyki ostrej, punkowej i psychodelicznej, która zawraca w głowie. Jednocześnie działałem w teatrze. Z kulturą ludową po raz pierwszy zetknąłem się w Gardzienicach, gdzie o mało nie zostałem stażystą. Później ten teatr przestał mi się podobać, ale tam właśnie usłyszałem „plotki ze wsi”, które mnie zaintrygowały. Plotki na przykład w formie jakiejś melodii czy opowieści. W wieku osiemnastu lat było mi wszystko jedno czy były one powtarzane wiernie czy nie. Później dużo większe znaczenie niż Gardzienice miał dla mnie Teatr Wiejski Węgajty. Jednocześnie zdałem sobie sprawę, że w dzieciństwie często bywałem na wsi, moi rodzice pochodzili ze wsi (okolice Kraśnika i Bychawy), zacząłem próbować ich rozumieć, a więc dotrzeć do tych miejsc i sytuacji, które ich ukształtowały. Okazało się, że dzięki temu odkrywam sam siebie. Zrezygnowałem z modernistycznych eksperymentów teatralnych (Teatr Poga) i muzycznych (Księżyc), jeżeli do nich wrócę, to już z zupełnie innej perspektywy.

Dlaczego zainteresowaliście się muzyką Mazowsza?

To w dużej mierze zasługa Andrzeja Bieńkowskiego. Centralna Polska, a zwłaszcza Radomszczyzna to swego rodzaju interior, zachowało się tam ogromne bogactwo starej polskiej (także trochę żydowskiej) muzyki, głównie instrumentalnej, rubatowanej, improwizowanej, połamanej rytmicznie, o różnych brzmieniach, słowem bardzo ekspresyjnej. Jest to muzyka w swej istocie dramatyczna, a przyspiewka to fascynujący, lecz wyjątkowo trudny, pomysł na śpiew, może ona przybierać formę wykrzykiwanego haiku, a może też układać się w dłuższą, wręcz narracyjną opowieść. Wielu z nas uczyło się od ludzi stamtąd grać i tańczyć, co za tym idzie mamy tam przyjaciół i znajomych.

Jak duże jest obecnie środowisko Domu Tańca?

Kilka razy zmieniał się nieco trzon grupy. Rok temu odeszło znowu do zająca domowego (mam nadzieję, że tylko na jakiś czas) trochę przyjaciół, którym się porodziły dzieci, jednocześnie zaczęli przychodzić nowi, zarówno nastolatki, jak i starsi od nas. Obecnie jest to około trzydziestu stale działających osób. Sympatyków zaś było i jest o wiele więcej. Liczę, że przez Dom Tańca przewinęło się kilkaset osób, które coś z niego wyniosły dla siebie, albo miłe wspomnienia, albo konkretne zainteresowania. Mamy na koncie kilka małżeństw...

Teraz rzadziej się spotykamy, ponieważ nie mamy stałego miejsca, co jest jednak pewną przeszkodą, a poza tym dzieci trochę nas ograniczają, jeśli są małe, a jeśli mają po 11-12 lat, mimo wszystko ku naszemu zaskoczeniu, zaczynają grać na skrzypcach czy tańczyć oberka, przy czym traktują to zupełnie normalnie. Jest to dla nas niesamowite i dziwne przeżycie, przecież muzyka wiejska była kiedyś muzyką ludzi młodych, a nikt z nas tak naprawdę z taką muzyką się nie zetknął, uczyliśmy się od siedemdziesięciolatków.

Co obecnie organizujecie?

W tym roku organizowaliśmy po raz pierwszy Tabor Domu Tańca w Chlewińskich koło Szydłowca. Była to bardzo udana impreza i w ten sposób teraz będziemy głównie działać: poprzez wydawnictwa – płyty, czasopismo „Wędrowiec” i warsztatowe zajęcia w terenie, a Tabor będzie ich centrum. Mamy nadzieję, że w przyszłym roku będzie trwał tydzień. W tym czasie zainteresowani z całej Polski będą mogli przyjechać i uczyć się od miejscowych ludzi śpiewać, grać, tańczyć i wykonywać różne inne, podobające się bliżnim i Bogu, zajęcia. W tym roku w Taborze brało udział około sześćdziesię-

Nagroda im. Oskara Kolberga „Za zasługi dla kultury ludowej” ustanowiona została w 1974 roku z inicjatywy plockiego miesięcznika społeczno-kulturalnego „Barwy”. W 2002 roku została przyznana po raz 27. Jest ona wyrazem najwyższego uznania dla twórczości artystycznej, naukowo-badawczej i popularyzatorskiej w dziedzinie kultury tradycyjnej. Promuje najlepsze osiągnięcia w ludowej twórczości, określa wzorce, przyczynia się do ugruntowania pozycji sztuki ludowej w narodowej kulturze.

ciu stałych słuchaczy. Z pieniędzy za karnety udało nam się sfinansować nauczycieli ze wsi, muzykantów, śpiewaczki. To było niemałe osiągnięcie, które pozwoliło się nam uniezależnić od tzw. dotacji, z czego się bardzo cieszę.

Tabor jest miejscem, z którego wiodą

wąskie, osobiste ścieżki poszukiwań. Można tu poznać tę śpiewaczkę, tego muzyka, których się szukało i później już do nich prywatnie jeździć. Staramy się być pośrednikami pomiędzy uczniami a mistrzami. Wbrew obiegowym opiniom powtarzanym przez niedoinformowanych, nie rezerwujemy niczego dla siebie. Z wieloma muzykami znamy się już bardzo długo, jesteśmy zaprzyjaźnieni i, wierzę mi, z pożytkiem dla przyszłego adepta muzyki ludowej będzie, jeśli on te osoby pozna przez nas. Takiej fraszolowości we wnioskaniu w wiejską kulturę nauczył nas Andrzej Bieńkowski, z początku nie było to łatwe, pamiętam jego minę, kiedy jeden z kolegów kupił baraban w jednej z wiosek na Radomszczyźnie, świetny bęben, cieszyliśmy się z niego, jednak wskutek jego braku, miejscowi zaprzestali chodzić po kusakowej kołodzie, a to była jedna z niewielu wsi, gdzie ten zwyczaj istniał wspólnie.

Jak wyglądały warsztaty od strony praktycznej?

Zajęcia odbywały się w dwóch turach. W sesji przedpołudniowej z reguły osoba najbardziej kompetentna z Domu Tańca prowadziła, nazywamy to, ogólne warsztaty, na przykład wokalne, otwieranie głosu, zabawy z głosem, ćwiczenia z emisji. Po południu przyjeżdżały śpiewaczki ze wsi. Czas wspólnego śpiewania, poznawania się, rozmów nie był ograniczony.

Około dziesięciu osób uczyło się grać na skrzypcach z Marianem Bujakiem. Nie było to proste, łatwiej nauczyć się pieśni. Zresztą dziewczyny zaśpiewały na finałowej zabawie razem z paniami z Gałek Rusinowskich jedną pieśń i to całkiem przyzwoicie wypadło. Natomiast adepci skrzypiec nie byli jeszcze w stanie zagrać z Bujakiem, trzy dni to był zbyt krótki okres. Oni mogli dopiero osłuchać się z jego muzyką, ozdobnikami, stylem gry. Poza tym starsi ludzie są „księżą”, w której szybko się przewracają stronicę. Marian Bujak ma niesamowitą pamięć, ogromny repertuar – ja sam nagrałem prawie dwieście jego melodii, głównie mazurków, za każdym razem, jak do niego przyjeżdżam, gra co innego, wie na jakim weselu, od którego muzykanta danej melodii się nauczył. On dzielił się całą swoją wiedzą. Trzeba było starać się mu dorównać, chłonąć tę wiedzę, umiejętność i też uczucia, co było prawie nie do ogarnięcia. Należy dodać, że Bujak gra trudne rzeczy, nie jest to muzyka energetyczna, „transowa”, która młodym od razu wchodzi pod nogę. On gra muzykę wyrafinowaną. Trzy lata trwało zanim mi się spodobała jego gra, wcześniej nie byłem przygotowany do odbioru tego rodzaju sztuki. Zresztą podobne zjawisko zachodzi w przypadku muzyki klasycznej.

Na Taborze można było również uczyć się tańców białoruskich prowadzonych przez kapelę Aleksandra Łosia i gaskońskich pod kierunkiem Casimira Potomskiego z Francji, który notabene zakochał się w Polce i będzie już często bywał u nas. Chcielibyśmy w przyszłości utrzymać międzynarodowy wymiar Taboru, może nawet go poszerzać, ponieważ okazuje się, że każdy ma swoją tradycję, którą powinien znać i cenić, ale warto się od siebie wzajemnie uczyć, dzielić się przeżyciami i poznawać świat. Bardzo też chcielibyśmy zapraszać muzyków ze styku Azji i Europy, ale na to mamy wystarczających środków.

Inny kierunek waszych działań to zabawy...

Zabawy są teraz często organizowane prywatnie, po domach, w ogrodach. Są to po prostu balangi przy żywej ludowej muzyce. Nie mamy, jak już wspomniałem, obecnie stałego miejsca i nie wiem, czy mieć będziemy. Może to i dobrze, bo nie mamy szansy stetryczeć. Jesteśmy od dawna taką lotną brygadą, zakotwiczyliśmy zawsze gdzieś na krótko, na rok, dwa, ale tak naprawdę to ciągle wędrujemy. Myślę, że jakieś zabawy będą w Zamku Ujazdowskim, w Klubie „Młódz” w Otwocku, gdzie też jest środowisko młodych ludzi zainteresowanych tradycyjną muzyką i rzemiosłem.

Marzymy o takim lokalu, jaki widzieliśmy w Irlandii, o takim prawdziwym klubie, gdzie na ścianach wiszą fotografie starych muzykantów, przyjaciół, miejscowego krajobrazu, gdzie gra się muzykę na żywo, gdzie przychodzą ludzie, którzy się przy tym bawią, gdzie można się czegoś napić i porozmawiać, pośpiewać, obejrzeć film. U nas nie ma jeszcze szans na powstanie czegoś podobnego, a dużych miestach, np. w Warszawie, takie miejsca padają. Niestety warszawska machina do budowy wielkich interesów szybko zasypuje takie nisze.

Ten, kto nie może słuchać Was na żywo, ma szansę na znalezienie tej muzyki na płytach. Jak dużą część waszych działań zajmują wydawnictwa?

Zbieraliśmy przez lata nagrania. Ucząc się grać – nagrywaliśmy, również po to, aby ocalić tę muzykę od zapomnienia. Powstało duże archiwum, którym warto się podzielić, tym bardziej że coraz więcej ludzi pyta o nagrania, chce się uczyć. Jest to nie tylko „podręcznik”, ale też muzyka do słuchania – są to płyty, których można słuchać jak wszystkich innych, dla przyjemności, zależnie od nastroju lub do tańca. Niektóre, na przykład pieśni pogrzebowe są próbą zwrócenia uwagi na resztkę żywej tradycji, jest to chyba jedyna dziś enklawa żywego folkloru. Być może taki repertuar zainteresuje kościół, który zaj-

mie się jego ochroną. Płyta „Jest drabina do nieba II” jest też świadectwem, że warto się modlić i żyć w bliskości z drugim człowiekiem, również w ostatnich jego chwilach. Mam nadzieję, że ukaże się ona w listopadzie, płyta jest gotowa, zbieramy pieniądze na poligrafię. Natomiast ostatnio wyszedł kompakt z Taboru z nagraniami z kapel i solistów instrumentalistów – skrzypków, harmonistów z okolic Szydłowca i Przysuchy oraz naszych gości z zagranicy, z Francji i Białorusi.

Macie więc kontakty z Domami Tańca z innych krajów...

Bywaliśmy we Francji, na Węgrzech, w Irlandii. Irlandczykom bardzo podoba się polska muzyka, okazuje się, że jesteśmy bliscy sobie, nawet ziemniaki z kapustą podają tam w pubach. Puby zamykają o 23.00, a potem idzie się do domu tańca. Podobnie jest we Francji, gdzie chodzi się na tzw. bale, tradycyjną muzykę na wysokim poziomie grają tam setki młodych ludzi i oczywiście na Węgrzech (od Węgrów zapożyczaliśmy nazwę dom tańca, oryginalnie tanchaz, u nas chodziło się „na zabawę”, „na muzykę” czy „na ochotę”). Od dwóch lat uczestniczymy, w jednym z największych w Europie, niefolklorystycznym festiwalu tańca w Gennetines we Francji, prowadzimy tam warsztaty i okazuje się, że nie mamy się czego wstydzić, polska muzyka zdobywa coraz więcej fanów, ostatnio nawet grupka „wariatów” z Francji przyjechała na tydzień do nas tylko po to, żeby potańczyć z nami oberka w naszych domach. Tam jest normalne, że ludzie się spotykają przy tradycyjnej muzyce na żywo, tańczą. Taka akustyczna muzyka nie przeszkadza również w rozmowie, u nas w miejscach teoretycznie przeznaczonych do tego rodzaju rozrywkę wszechobecne jest natarczywe „umcy”.

Wydajecie też kwartalnik. Jakie są plany związane z tym pismem?

„Wędrowiec” ukazuje się od 2001 roku, obecnie jest w druku czwarty numer. Wcześniej była gazetka „Korzenie” wydawana przy okazji naszych spotkań – zabaw. Zawierała sylwetki muzyków ze wsi, których akurat gościliśmy, wypisy z Kolberga itp. Natomiast kwartalnik „Wędrowiec” ma poważniejszy charakter. Nie jest to pismo stricte etnograficzne, ma obierać to, co robimy – również nasze zainteresowania np. literackie czy własne potrzeby wyrażenia się. Może w „Wędrowcu” jeszcze tego nie widać, ale nasze rozmowy artystyczne ego na pewno w którymś momencie stłamsi pokorę wobec własnej marności...

Głównie chciałbym publikować teksty prosto ze wsi, pisane przez ludzi ze wsi (najlepszym przykładem są dwa teksty w najnowszym, trzecim numerze – pogrze-

bowym, a zwłaszcza tekst Józefa Murawskiego, nie tylko sucha relacja, ale opowieść bogata we własne przemyślenia), także przez pokolenie studiującej młodzieży, które ma już inne od większości swoich akademickich poprzedników podejście do badania tradycji. Oni dużo jeżdżą, nie prowadzą wyłącznie badań gabinetowych, potrafią wyrazić się nie tylko hermetycznym językiem naukowym, ale komunikować się sposobem ciekawy literacko. Pismo jest też trochę propagandowe, popularyzuje nasz styl podejścia do kultury ludowej. Będzie sporo tekstów o domach tańca w całej Europie, ale na razie skupiamy się na polskiej wsi.

Poza tym jest coś pociągającego w papierze, w formie drukowanej – można opublikować zdjęcie czy tekst, którym chce się podzielić z kimś więcej, nie tylko z sąsiadami. Internet jest typem bardzo hasłowej komunikacji, ludzie nie piszą z reguły długich listów, komunikują się krótko i w najważniejszych sprawach. Co prawda są w sieci i próby literackie, ale ja nie mogę czytać poezji w Internecie, muszę na papierze. Być może jestem przedstawicielem ginącego pokolenia. Z piśmem można chodzić, gdzieś je położyć, poczuć fakturę papieru, zapach farby drukarskiej. Jest to po prostu towarzysz człowieka.

Wydawanie gazety może być poczytane za fanaberię. Myślę, że moglibyśmy bez tego żyć, ale fajnie jest robić takie czasopismo. Na duchu podtrzymuje nas także wnuk wydawcy dawnego, historycznego „Wędrowca” wychodzącego w Warszawie od czasów powstania styczniowego do międzywojnia. Nasz pomysł przypadł mu do gustu, dał nam swoje „błogosławieństwo”, które też nas obliżuje do dalszej pracy.

Jak ci się wydaje, dlaczego przede wszystkim młodzież miejska jest zainteresowana wiejską kulturą?

To faktycznie jest młodzież od pokoleń miejska, albo wnuki tych co przyszedli do miasta. Natomiast młodzieży wiejskiej kultura rodziców czy dziadków kojarzy się z biedą. Wciąż pokutuje PRL-owski mit postrzegania miasta jako miejsca awansu społecznego.

Miasto jest bardziej zróżnicowanym środowiskiem i zawsze znajdzie się grupka „wariatów”, którym spodoba się co innego, może nawet z przekory, chęci bycia oryginalnym. Nasi przyjaciele z Domu Tańca to zazwyczaj ludzie bardzo wrażliwi, artyści, rodzaj cyganerii. Nie wiem czy z naszego działania wyniknie coś ważnego dla kultury, choć na Węgrzech ten ruch odegrał dużą rolę. Jednak tam był to nurt ogólnonarodowy, to była opozycja polityczna, inna sytuacja społeczna. Kilka-kilka tysięcy ludzi ukształtowało się w

Domach Tańca, a biorąc pod uwagę liczebność tego narodu jest to poważny procent. Ciekawa paralela: zarówno w Polsce, jak i na Węgrzech, szlachta miała procentowo największy w Europie udział w społeczeństwie...

Nie byłabym taką pesymistką. W Polsce również rozwijają się Domy Tańca.

W Krakowie istniał krótko Dom Tańca prowadzony przez Muzykantów. Teraz Jacek Hałas organizuje na większą skalę Dom Tańca w Poznaniu i faktycznie działa on dobrze. Ma międzynarodową pozycję, jest bardziej otwarty niż my. Ostatnio była tam salsa i rytuały szamańskie. Jest to może bardziej „karczma antropologiczna”. W Suwałkach powstaje

Dom Tańca w oparciu o środowisko zespołu pieśni i tańca oraz muzyków i tancerzy z Szypliszka, co jest dość ciekawym przypadkiem. Oni mogą czerpać z różnych tradycji, mają pod ręką Litwę. Tego im zazdroszczę. W Olsztynie także istnieje środowisko w ramach Stowarzyszenia Tratwa, które jest faktycznie domem tańca, chociaż tak się nie nazywa. Z Maćkiem Żurkiem na czele jeżdżą oni do braci Gaców już od trzech lat na nauki.

Wszyscy zajmujemy się głównie muzyką nizin polskich, ale warto przecież wspomnieć o góralach, wśród których również funkcjonują miejsca i środowiska, które można by tak nazwać, to jednak zupełnie inna historia. Pojawiają się różne

lokalne grupy o podobnym jak my podejściu do kultury tradycyjnej, ale wciąż są to zainteresowania elitarne, o ogólnopolskiej modzie czy nurcie trudno mówić i pewnie tak już zostanie. Poza tym my też będziemy się bronić przed zakusami świata, bo to w sumie jest bardzo osobista muzyka i przygoda. To jest od początku do końca niekomercyjne przedsięwzięcie. **Życzę wielu dalszych sukcesów.**

Dziękuję i zapraszam wszystkich chętnych do współpracy.

Rozmawiała Agnieszka Matecka

Kontakt: Stowarzyszenie „Dom Tańca” w Warszawie; Remigiusz Mazur-Hanaj, ul. Raszyńska 56/14, 02-033 Warszawa; e-mail: remek_hanaj@poczta.onet.pl

Zdaniem jurora

Jan Adamowski – znany folklorysta i miłośnik kultury ludowej, Kierownik Zakładu Kulturoznawstwa UMCS, redaktor „Kazimierskich nut”, działacz Stowarzyszenia Twórców Ludowych – był jednym z „dwunastu gniewnych ludzi”, jurorów decydujących w tym roku o przyznaniu Nagród im. Oskara Kolberga.

Na jakich zasadach przyznawana jest Nagroda im. Oskara Kolberga?

Nagrodę można otrzymać po decyzji ogólnopolskiej komisji konkursowej złożonej z reprezentantów różnych dyscyplin, zarówno naukowych, jak i praktycznie zajmujących się kulturą ludową. Nagroda przyznawana jest raz do roku.

Jest dość szeroka gama instytucji uprawnionych do zgłaszania: muzea, domy kultury różnego szczebla od wojewódzkich po gminne, stowarzyszenia formalnie, kandydatów mogą też zgłaszać członkowie komisji. Oczywiście, wymaga się pewnego uzasadnienia. Z mojego wieloletniego już doświadczenia wynika, że nagroda ta przyznawana jest przede wszystkim za całokształt twórczości, nawet jeśli otrzymuje ją ktoś młodszy. Najczęściej jednak jest to nagroda przyznawana najstarszym – choćby dlatego, że tradycję najlepiej przenoszą, kultywują i tworzą ludzie wiekowi. Musi to być osoba czy instytucja dojrzała, z wyrazistym dorobkiem.

Ile zgłoszeń było w tym roku?

Zgłoszenia się kumulują, nie odrzucałyśmy wcześniej przedstawionych, chyba że są one ewidentnie pomyłką, co rzadko się zdarza. W tym roku rozpatrzyliśmy w sumie około 300 kandydatów do nagrody w różnych dyscyplinach. Oczywiście ich

liczba różnie się kształtuje w poszczególnych kategoriach. Są to przede wszystkim osoby indywidualne, mające dorobek twórczy w dziedzinie sztuk plastycznych bądź w folklorze, do którego należy śpiew, taniec, muzyka oraz pisarstwo ludowe. Są też nagrody dla zespołów ludowych, dla kapel, osobna kategoria, którą popularnie określa się mianem „badacze i popularyzatorzy kultury tradycyjnej” oraz nagrody honorowe, które nadaje się instytucjom lub osobom z zagranicy, zasłużonym dla polskiej kultury tradycyjnej. Tych nagród rocznie jest w sumie jest około dwudziestu.

Jakie są kryteria oceny?

Ogromną rolę odgrywają dotychczasowe osiągnięcia, na przykład nagrody otrzymane na Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu, konkursie tańca tradycyjnego w Rzeszowie, Prezentacjach Wiejskich Zespołów Teatralnych Tarnogrodzie. Pod uwagę brany jest dotychczasowy dorobek w postaci badań, dokumentacji, konkursów plastycznych, udziału w wystawach. W przypadku pisarzy ważne jest uczestnictwo w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Jana Pocka, zakres wydawnictw i czas dorobku, podczas którego można ocenić rozwój twórczości. We wszystkich dyscyplinach premiowani są najbardziej autentyczni

twórcy, aczkolwiek w ostatnich latach konkurs został rozszerzony o zespoły stylizowane, pieśni i tańca, co jednak nie jest akceptowane przez członków jury.

Natomiast w przypadku kategorii „badacze i popularyzatorzy” od kilku lat, już tradycyjnie przypada ona z jednej strony wybitnemu badaczowi kultury ludowej; swego czasu nagrodę im. Oskara Kolberga otrzymała prof. Dorota Symonides, prof. Jerzy Bartmiński, prof. Ludwik Bielawski, a w tym roku prof. Teresa Smolińska. Z drugiej strony staramy się uhonorować terenowego badacza i popularyzatora folkloru, osobę związaną z uprawianiem kultury tradycyjnej.

Dlaczego właśnie Stowarzyszenie „Dom Tańca” otrzymało w tym roku honorową nagrodę im. Oskara Kolberga?

Zadecydowało o tym kilka argumentów, po pierwsze jest to na naszym gruncie inicjatywa oryginalna, istnieje już kilka lat i rozwija się w wielu kierunkach – wystarczy wspomnieć o wydawnictwach płytowych czy kwartalniku „Wędrowiec”. Poza tym skupiła sporą grupę młodych entuzjastów folkloru, którzy próbują rekonstruować jak najwierniej kulturę tradycyjną i poznawać ją w formie najbardziej autentycznej. Myślę, że jest to bardzo ważny argument w sytuacji, kiedy folklor jest prezentowany głównie w formie uproszczonej, bardzo stereotypowo i wybiórczo. Członkowie Domu Tańca próbują dotrzeć do tych najbardziej tradycyjnych pokładów kultury, wyjeżdżają w teren, organizują np. śpiewanie ludowych pieśni wielkopostnych i wskrzeszają tradycję śpiewu grupowego. Jest to pewien zespół oryginalnych działań, które zyskały aprobatę komisji, mimo relatywnie niezbyt długiego okresu działania. Poza tym wpłynął formalny wniosek, poparty przez red. Marię Baliszewką, która jest tu niekwestionowanym autorytetem. I ja się absolutnie pod nim podpisuję.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Agnieszka Matecka

